

Internet pamięta... ...spisane będą czyny i rozmowy...

Ten często cytowany wers Miłosza nabiera dziś nowych znaczeń. Z wielką poezją tak bywa. Choć ostatnio przywoływany jest on głównie w kontekście inwigilacji czy polityki, to tutaj chciałbym poruszyć kwestie mniej dramatyczne, ale w większym stopniu dotyczące bezpośrednio każdego. Bo czyż w czasach, gdy korzystanie z dobrodziejstw internetu zaczyna się w pierwszej dekadzie życia, zagadnienia związane ze zbieraniem, przetwarzaniem i przechowywaniem informacji o nas kogokolwiek nie dotyczą? Nie mam tutaj na myśli śledzenia i podsłuchiwanie, które może mieć miejsce bez naszej wiedzy i zgody, czy wręcz nielegalnie. Piszę o całkowicie legalnym zbieraniu danych na nasz temat, na które, z większą lub mniejszą świadomością, *sami się zgadzamy*.

Komercjalizacja internetu pociągnęła za sobą wykształcenie modelu biznesowego, w którym bezpłatnie dostarczane usługi finansowane są z wpływów z reklam. Model ten okazał się na tyle skuteczny, że umożliwił powstanie gigantów reklamowych przedstawiających się jako dostawcy usług (wyszukiwania, poczty, kontaktów ze znajomymi). Warto tutaj przypomnieć dawno już ukute powiedzenie: jeśli nie płacisz za usługę, to jesteś *towarem*, a nie klientem. I nie ma znaczenia, że usługi te często są wysokiej jakości – nadal nie one są towarem. Jeśli czytająca(-y) te słowa sądzi, że może przesadzać w swoim antykorporacyjnym zacietrzewieniu, niech spróbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki jest adres/telefon biura obsługi klienta Google'a, Twittera czy Facebooka?

Zacznijmy od przypomnienia sobie, kiedy ostatni raz przeczytałam(-em) warunki korzystania z internetowej usługi przed naciśnięciem guzika „zgadzam się” i czy wiem, na co się zgadzam? Moja odpowiedź brzmi: miesiące temu i jedynie przejrzałem – i to pomimo przynależności do raczej nielicznej grupy czytelników kompletnej licencji systemu Windows XP. Zważywszy na objętość i złożoność tego rodzaju dokumentów, nie jest zaskoczeniem, że mało kto to robi. To samo dotyczy wszechobecnych na stronach internetowych zgód na śledzenie użytkownika. Tutaj sytuacja jest nieco łatwiejsza, gdyż na zaznaczenie wszystkich „nie zgadzam się” w pojawiającym się okienku zazwyczaj potrzeba mniej niż 30 sekund. Polecam też następujące ćwiczenie: odnalezienie, zazwyczaj dobrze schowanej w tym oknie, listy organizacji, z jaką prowadzący stronę dzieli się informacjami o nas. W moim przypadku sama długość tej listy często zniechęca do skorzystania z danej strony czy usługi.

Nie miejsce tutaj na zagłębianie się w fascynujące aspekty techniczne metod śledzenia naszych zachowań w internecie, nie ma też takiej konieczności. Dzięki przepisom nakazującym ujawnianie takiego śledzenia możemy łatwo zorientować się, jak powszechne jest to zjawisko. Gdy trafiamy na stronę internetową, która nie prosi nas o zgodę na monitorowanie naszych zachowań, to mamy do czynienia albo z serwisem działającym poza jurysdykcją wspomnianych przepisów, albo stroną je lekceważącą, albo jednym z nielicznych podmiotów, który po prostu nas nie śledzi. Takie serwisy istnieją, choć jest ich niewiele. Zaczynając od Wikipedii, poprzez wyszukiwarki takie jak DuckDuckGo, aż po dostawców poczty, takich jak ProtonMail, Tutanota czy PreVeil. Co więcej, usługi tych dostawców wcale nie są kosztowne, a często wręcz darmowe. Po prostu oparte są na innym modelu biznesowym. Dobrze ilustruje to Wikipedia. Jest ona jedną z najczęściej odwiedzanych stron w internecie. Jednak, pomimo znacznych kosztów, utrzymuje się z dorocznej

zbiórki publicznej. Przeprowadzone kilka lat temu oszacowania wskazują, że gdyby wszyscy użytkownicy wspieranych reklamami usług postanowili za nie płacić, to *summary* koszt na użytkownika wynosiłby około 50–100zł/rocznie, przy niezmiennych dochodach usługodawców. Powstaje pytanie, czy warto za zaoszczędzenie takich kwot pozwalać na śledzenie nas lub analizę naszej korespondencji? Korespondencji, która czasem zawiera np. informacje o naszych wizytach lekarskich, inwestycjach czy zakupach?

Trzeba pamiętać, że śledzenie na potrzeby reklamy, choć nie ma bezpośrednio złych intencji, to zbiera dane, które mogą być użyte w złych celach. Przekonały się o tym ofiary afery Cambridge Analytica, których dane z mediów społecznościowych użyte zostały w kształtowaniu kampanii prezydenckiej w USA. Co więcej, mogło to dotyczyć nawet osób, które nie były użytkownikami tych mediów. Na dodatek zasady pozyskiwania, przechowywania i przetwarzania tych informacji w praktyce pozostają poza realną kontrolą. Zbierają je zazwyczaj wielkie międzynarodowe korporacje, którym łatwiej znaleźć metodę na ominięcie przepisów w rodzaju RODO. Przesłuchania zarządu Facebooka przed senatem USA dowiodły, że zgromadzone dane pozostają w ich posiadaniu praktycznie *na zawsze*, co wynika ze stopnia skomplikowania systemu i praktycznej niemożności usunięcia wszystkich informacji.

Z powyższego wyłania się raczej mroczny obraz, rodem z jakiejś dystopii. Celem piszącego te słowa nie jest jednak wpędzenie czytelnika w paranoję. Wręcz przeciwnie, chcę pokazać, że *nie żyjemy w świecie wszechmocnych korporacji*, które śledzą nas na każdym kroku. To *my sami*, z *własnej nieprzymuszonej woli*, dajemy tym korporacjom nasze dane, zazwyczaj powodowani zwykłą ludzką naturą. Przecież mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż martwienie się o to, czy Google wie na podstawie zadawanych pytań, że zostaniemy dziadkami, zanim dowiedzą się o tym nasze dzieci.

Tymczasem wpłynięcie na taki stan rzeczy wcale nie wymaga zdobycia rozległej wiedzy technicznej ani wielkiego wysiłku. Wystarczy refleksja nad własnymi wyborami oraz pozbycie się fałszywego poczucia bezpieczeństwa, ponieważ świadomość zagrożeń daje możliwość ich uniknięcia. Jako punkt startowy proponuję zadanie sobie kilku prostych pytań:

- Czy moja prywatność ma dla mnie jakąś wartość? 10 zł, 50 zł, 100 zł na rok?
- Może warto nauczyć się szyfrować korespondencję (np. Mailvelope)?
- Może warto zmienić wyszukiwarkę, której używamy? Są takie, które nie śledzą użytkowników (np. Qwant, DuckDuckGo). Czy lepsze wyniki wyszukiwania warte są moich danych?
- Może warto włączyć tryb „incognito” przeglądarki (przynajmniej gdy szukamy prezentu dla męża na wspólnym komputerze)?
- Czy aplikacja, którą właśnie instalujemy na telefonie, naprawdę potrzebuje znać naszą lokalizację, czytać nasze pliki i SMSy oraz listę kontaktów? A może wystarczy udzielić jej dostępu, tylko kiedy jest to niezbędne?

Osiągnięcie pełnej ochrony naszej prywatności zapewne nie jest możliwe. Myślę jednak, że nawet niewielkie kroki mogą ją znacząco poprawić.

PAWEŁ T. JOCHYM
Instytut Fizyki Jądrowej PAN

Wydarzenia

- Politechnika Wroclawska dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – [link](#)